Nr 11 (20) 1 LISTOPAD 1938 ROK II

BIULETYN POMORSKI



WYDAWANY PRZEZ
STOWARZYSZENIE PRZYJACIÓŁ POMORZA
W WARSZAWIE

ADRES: SKR. POCZT. 135 KONTO P. K. O. 15.325

Cena 50 gr.

Nr. 11 (20) 1 LISTOPAD 1938 ROK II

BIULETYN POMORSKI

ADRES: WARSZAWA, SZOPENA 10 m. 2 ● Skr. poczt. 135 ● KONTO P.K.O. 15.325

MGR KULA BERNARD
Warszawa.

NIE ŁUDŹMY SIĘ

Chyba wszyscy widzimy, że na Pomorzu jest źle i coraz gorzej. Dotychczas zawsze byliśmy dumni, że to na Pomorzu wszystko jest lepsze niż w reszcie Polski.

Tak też było, okres jednak ten jest już dawno poza nami.

Gdy spojrzeć na zagadnienie pomorskie z Warszawy, musimy dojść do przekonania, że tereny Polski środkowej i południowej, wykazujące do tychczas niski poziom gospodarczy i kulturalny w porównaniu z Polską zachodnią, muszą być podniesione. Tego wymaga racja stanu, względy bytu państwowego, czy jak kto chce — względy obronności.

Jeżeli jedne okręgi kraju mają dogonić drugie, to może się dziać albo przy wielkiej intensywności miejscowego społeczeństwa, albo z inicjatywy i środkami rządu. Jeżeli rząd postanawia podnieść pewne okręgi, no to muszą na to płacić inne okręgi i to przede wszystkim te, które stoją wyżej — więc Polska zachodnia.

Rozwój więc narazie Polski zachodniej musi ulec zahamowaniu, takie jest prawo naczyń połączonych.

Rodzi się teraz pytanie, czy my możemy pozwolić sobie na zahamowanie rozwoju Polski zachodniej.

Nie!

Zdawać bowiem musimy sobie sprawę z rzeczy zasadniczej: Na terenie Polski zachodniej znajduje się kolebka narodu polskiego. Tu mieszka typ Polaka, jaki się w ciągu 1000 letniej historii wytworzył, na ogół bez przymieszki obcej krwi. Nie będę tu mówił o kwalifikacjach tego typu, o tym jeszcze napiszę.

Dziś omówić chcę położenie Pomorza i przekonać swych Czytelników o konieczności szukania środków zaradczych i nie łudzenia się, że to może być robota łatwa, natychmiast dająca efekty.

Naprzód zdajmy sobie sprawę, jak my właściwie na Pomorzu wyglądamy:

I. Rolnictwo.

Wszyscy wiemy, że ilość gospodarstw wiejskich jest u nas na ogół stała. Gospodarze nie dzielą gospodarstw, przybywa nam jedynie gospodarstw z parcelacji — gospodarstwa te jednak w małym procencie dostają się Pomorzanom.

Sytuacja gospodarcza nie jest godna pozazdroszczenia. Gospodarz nasz był przyzwyczajony do gospodarki intensywnej, pola łąki wymagały nawozów sztucznych, to je kupował, odnawiał inwentarz żywy i martwy, niekiedy kształcił syna lub córkę. Zakupy w miasteczku lub wsi dokonywał zwykle na kredyt, regulowany dopiero po sprzedaży zboża, partii świń, konia czy bydła. Niekiedy zdarzało się, że żeniąc syna czy urządzając mu warsztat lub wydając za mąż córkę, pożyczał w miejscowym banku kilka tysięcy. Przyszedł kryzys — dochodowość gospodarstw cofnęła się gwałtownie, strona rozchodowa— zakupy wyrobów przemysłowych, podatki, ubezpieczenia — nie spadały nigdy do poziomu cen rolniczych, a cofały się ze znacznym opóźnieniem.

Katastrofa była gotowa.

Przyszedł okres ulg w spłatach zobowiązań rolniczych — ale sytuacji nie uratował.

Gospodarz pod obuchem konieczności przestał kupować, ograniczył używanie nawozów sztucznych, dzieci wycofał ze szkół, nikogo nie żeni, nie wydaje za mąż, bo nie ma pieniędzy.

Chce ratować warsztat, sumienie jego nie pozwala mu nie płacić zobowiązań, choćby różne urzędy przyznawały mu ulgi. Częstokroć zobowiązania jego mają charakter ściśle osobistych długów. Jak tu nie płacić swoim krewnym, znajomym, jeśli się od nich pożyczyło. Nie patrzy więc na to, że jego dzieci siedzą w domu bez widoków na założenie własnych warsztatów i własnego ogniska domowego, byle mu nie powiedzieli, że nie płaci długów.

II. Kupiectwo.

Kupiectwo nasze było również naszą dumą. Ono to rekrutując się przeważnie ze wsi wypierało już przed wojną element niemiecki z miast i polszczyło nasze miasta. Ono włożyło olbrzymi wysiłek finansowy, by wykupić wracających do Rzeszy po wojnie

Niemców — samo jednak zostało bez kapitału obrotowego po wysileniu się na kupno nieruchomości czy warsztatów, a zetknąwszy się z nieznanym dla niego systemem urzędów skarbowych, z nieznanymi dla niego metodami hurtowego handlu — w dużej mierze żydowskiego, wreszcie zagrożone konkurencją powstających składzików i sklepików prowadzonych niefachowo — nie potrafiło jakoś dać sobie w tych nowych warunkach rady. Bezprzecznie każdy przyzna, że tu zawodowe kupiectwo na Pomorzu słabnie. Szuka ratunku w emigracji do innych części Polski. Że kupiectwo nasze mimo wzmocnienia się liczebnego finasowo podupadło — niech posłuży za dowód fakt, że to kupiectwo nie umiało wraz z wzrostem Gdyni zapewnić sobie w tej Gdyni przewag, a już w minimalnym procencie znalazło się w handlu zamorskim.

Jeżeli chodz o handel światowy i hurtowy to działa tu jeszcze jedna przyczyna poza brakiem odpowiednich kapitałów. Dzisiejszy handel zagraniczny jest w dużej mierze reglamentowany. Nie wystarczy mieć doświadczenie, nawet nie starczy mieć kapitały — trzeba mieć... znajomości w urzędach. Nikt nie jest tak naiwny, by wierzyć, że otrzymanie kontyngentu na eks- czy import załatwiało się tylko na podstawie podania. Trzeba sprawy pilnować; nachodzić biura, by sprawa „nie nabierała mocy urzędowej" i. t. d. Poza tym różne formy eksportu mają swoje kredyty udzielane przez banki państwowe — sprawa otrzymania kredytu też wymaga zachodu. Tymczasem Pomorzan nie ma w urzędach centralnych, nie ma komu ich o zawiłej procedurze biurokratycznej pouczyć, chodzą więc albo po omacku, albo co gorsza wcale nie chodzą.

Efekt wiadomy: Handel zagraniczny w rękach żydowskich — nawet takie instytucje jak bekoniarnie (Kościerzyna) były w rękach żydowskich. I ten handel żydowski w dalszym ciągu wgryza się w Pomorze. Nie łudźmy się sukcesami naszymi, że ten lub inny sklepik żydowski zbankrutował. Kilka miast pomorskich ma istne Nalewki. Nie jest to całość smutnego obrazu. Jak się przedstawia nasz handel hurtowy? Niech nasi kupcy w swoim sumieniu odpowiedzą — ile to towarów kupują z żydów.

III. Spółdzielczość.

Wszyscy też wiemy, że miano dobrych organizatorów jakie mamy, w dużej mierze zawdzięczamy naszej organizacji spółdzielczej. Zdajemy sobie jednak sprawę, że to już dni minione.

Jeżeli na 59 Banków Ludowych na Pomorzu okazało się słabych banków 43 — jeżeli cały szereg banków od kilku lat nie działa, wykazuje straty, nie może wypłacać wkładów, a w niektórych były nawet nadużycia, no to chyba nie mamy się czym chwalić. Sytuacja obecnie ulega odprężeniu, wkłady wymówione zostaną przy pomocy kredytu z central finansowych wypłacone, musimy być jednak przygotowani na długą sanację Banków Ludowych i to nie tylko sanację fnasową, ale co ważniejsza, na sanację moralną, na odbudowę zaufania.

Na odcinku innych spółdzielni, jak mleczarskich i rolniczo-handlowych sprawa nie przedstwia się lepiej. Jak tu nie rumienić się ze wstydu, jeżeli stwierdzamy, że do wielu spółdzielni niemieckich dostarczają mleko względnie inne towary Polacy, że oszczędności swe lokują w kasach niemieckich. Jaki kontrargument znajdziecie na powiedzenie gospodarza pomorskiego, który do niepomorzanina, gdy mu zarzucił dostawę mleka do spółdzielni niemieckiej, odpowiedział: „Wy to portki weźmiecie w garść i pójdziecie sobie, a ja mam tu gospodarstwo".

Są to symptomy daleko sięgającego rozkładu na Pomorzu, upadek ducha narodowego, załamania się.

Nie mówię to już o zewnętrznych oznakach upadku:

1) zły stan dróg,
2) budownictwo drewniane,
3) zmniejszenie poczytności prasy,
4) pogorszenie spławności Wisły,
5) bezrobocie itd.

Gdzie leżą przyczyny upadku?

Jedno już wskazaliśmy: prawo naczyń połączonych działa. W tę przyczynę jednak walić nie chcemy. Polska musi się na całym obszarze rozbudować i jeżeli to musi się stać kosztem Pomorza, no to trudno.

Są jednak inne przyczyny. Nasze stanowisko jest jasne i niejednokrotnie na łamach „Biuletynu" podkreślone.

Upadek Pomorza jest wynikiem załamania się psychicznego społeczeństwa pomorskiego.

A dlaczego społeczeństwo nasze się załamało? Bo inaczej sobie Polskę wyobrażało. Skoro w tej Polsce wymarzonej, wypracowanej i wywalczonej dla Pomorzan na Pomorzu zabrakło miejsca, skoro społeczeństwo to z Polską poprzez urzędników województwa, starostwa, Izby Skarbowej, urzędów skarbowych, kolei, poczt, lasów, ceł itd. stykało się z ludźmi, z którymi mimo wspólnego języka nie mogło się porozumieć, skoro w Warszawie w centralach nigdzie nie było Pomorzan, no to nic dziwnego, że społeczeństwo powiedziało sobie, my nic tu nie poradzimy, jesteśmy od wpływu usunięci, pomocy pozbawieni państwa, w tych warunkach najlepiej zrobimy, jeżeli będziemy cicho siedzieć.

Może ktoś powiedzieć, wy upraszczacie sytuację, przecież przy najrozmaitszych okazjach zarówno najwyższe czynniki jak i ministrowie stwierdzali, że

Pomorze ma w nich wielkich przyjaciół, że rozumieją potrzeby Pomorza, że cenią walory Pomorzan — to odpowiemy, że to wszystko prawda, znamy każde takie powiedzenie, cieszą nas one, nie mniej nie łudzimy się, żeby miały sytuację zmienić.

Zaszliśmy tak daleko, że jakiekolwiek deklaracje nie wywołują nawet nadziei. Dlaczego?

Przecież nie jesteśmy tak naiwni, żeby spodziewać się, że pewnego dnia powie się: „Musimy Pomorzan włączyć w bieg życia państwowego, gdyż są to ludzie, którzy się Polsce przydadzą. W tym celu musimy oddać odpowiedzialność za bieg życia państowego na Pomorzu w ręce miejscowych ludzi. Ich zadaniem będzie wspólnie ze społeczeństwem nie pozwolić na upadek Pomorza.

Byłaby to decyzja męska — tej jednak decyzji nie możemy oczekiwać. W dalszym ciągu będziemy najprawdopoboniej słyszeli: „Im tj. Pomorzanom nie można wierzyć, to albo endeki jawne albo zakapturzone, albo też separatyści. Dopóki takie będą argumenty, dopóki na pracę państwową na Pomorzu będzie się patrzało pod kątem widzenia sanacja-endecja — nie ma mowy o rozbudowie Pomorza, choćby Skarb grube miliony przeznaczył na podniesienie życia gospodarczego Pomorza.

Pewnie, że domaganie się przez inteligencję pomorską wpływu na aparat biurokratyczny przynajmniej na Pomorzu stwarza łatwy zarzut: im chodzi o posady — jeżeli jednak inaczej nie można współpracy aparatu państwowego ze społecznym ułożyć jak tylko w ten sposób, że Pomorzanie na tych posadach muszą być — no to powiedzcie Panowie, którzy taki zarzut wysuwacie, a o co Wam chodzi.

Wracam do początku. Ci, którzy chcą mieś silne Pomorze, którzy własną wytężoną pracą chcą przeciwdziałać skutkom prawa o naczyniach połączonych, którzy warunek wzmożenia sił polskich na Pomorzu widzą w konieczności dopuszczenia do udziału w pracy państwowej na Pomorzu miejscową ludność — niech się nie łudzą, że jest to przedsięwzięcie łatwe, że ich słuszne żądania będą uwzględnione.

Kto życie swe chce poświęcić Wielkiej Polsce, pacę nad silnym Pomorzem musi być przygotowany na długą pracę, ciągłą, wymagającą osobistego zaparcia się. Toteż niech każdy z nas zapyta się we własnym sumieniu: Co dotychczas zrobił.

Przeszkody na naszej drodze są — jednak tylko dla ludzi słabych są one nie do pokonania.

My chcemy być silni!

BERNARD NUSZKOWSKI
Bydgoszcz.

MYŚL UNIWERSYTECKA NĄ POMORZU

W dniach ostatnich odbyła się na wyższych uczelniach uroczysta inauguracja roku akademickiego. Uroczystości te stały się wielkim świętem młodzieży studiującej, która z wszystkich stron kraju udaje się do ognisk naukowych po wiedzę i przygotowania zawodowe. Jednocześnie sam obrzęd inauguracyjny stanowi przegląd młodych sił, które zbiegły się do ośrodków naukowych po napój prawdy i cnoty dla spragnionych umysłów i serc.

Kiedy zewsząd nadchodzą sprawozdania o przebiegu aktów inauguracyjnych, w duszy młodej inteligencji urodzonej i wychowanej na ziemi Pomorskiej budzi się znów, nigdy nie wygasła myśl i pytanie: Kiedy spotkamy się na inauguracji roku akademickiego w murach wszechnicy Pomorskiej? Zagadnienie to pozostaje w bieżącej chwili wciąż jeszcze otwarte.

Nowy zasób myśli i dążeń zebrał w świeżo wydanej broszurze p. t. „O potrzebie wyższego szkolnictwa na Pomorzu“ dyr. Książnicy miejskiej w Toruniu, Zygmunt Mocarski. Broszura jego, obejmująca zarys retrospektywny, starań o stworzenie uczelni Pomorskiej od czasów najdawniejszych, aż do doby współczesnej oparta jest na źródłowych badaniach. Autor w I części omawia czasy przedwojenne, podkreślając pobudki, jakie kierowały inicjatorów założenia nowego Uniwersytetu Pomorskiego. W pamięci społeczeństwa tkwiła zawsze żywa tradycja dawnej akademii Chełmińskiej. Wybitni społecznicy i działacze ziemiańscy rzucali na forum publiczne projekty założenia nowego warsztatu badań naukowych, uwzględniającego Prusy Królewskie. Okres zaborczy nie sprzyjał dążeniom myśli polskiej, zwalczanej nieustannie przez naukę i publicystykę niemiecką.

Spośród wielu głosów, popierających postulaty utworzenia Uniwersytetu na obecnym Pomorzu, zasługują na uwagę nierzadkie artykuły, wykazujące konieczność ufundowania wyższej uczelni z siedzibą w Bydgoszczy. Pierwszy artykuł ukazał się w czasopiśmie Lipskim „Im Neuem Reich“ w roku 1862. Autor podkreśla potrzeby naukowe utworzenia nowej placówki, niezapominając również o motywach politycznych. „Czym jest Strassburg w górnym Renie wobec Romanów, tym samym winna być Bydgoszcz na dolnej Wiśle wobec Słowian. Autor stwierdza,

że w trójkącie między Berlinem, Królewcem a Wrocławiem, Bydgoszcz stałaby się ważną oazą myśli badawczej. Miasto bowiem leży geograficznie pośrodku owego trójkąta, jest kwitnącą stolicą obwodu nadnoteckiego. Bydgoszcz okrążona jest Polskimi ziemiami, w których polskość nie ma już więcej prawnej postawy i zaczyna zanikać".

W tymże jeszcze roku władze miejskie w Bydgoszczy na skutek żywej kampanii prasowej, wniosły do Berlina memoriał, omawiający potrzbę założenia Uniwersytetu z siedzibą w Bydgoszczy. Memoriał ten poza względami naukowymi szczególnie rozważa argumenty polityczne, uznając budowę nowej szkoły akademickiej jako ważny cios w poczucie narodowe ludności polskiej. W zabiegach o utworzenie Uniwersytetu nie ustawały również inne miasta, a szczególnie Toruń. Zabiegi te jednakże spełzały na niczym i raczej były kuszeniem się o względy prestiżowe i propagandowe. Prym w wysiłkach o budowę akademii naukowej dzierżyła Bydgoszcz lub też uczeni, pragnący widzieć w tym mieście najwybitniejszy punkt badawczo naukowy dla ekspansji niemieckiej.

Ciekawie przedstawia się przegląd starań i dążeń jakie przejawiały się w czasach powojennych. Zebrał je starannie dyr. Mocarski w II części swej rozprawy.

Ziemia Pomorska w nowym układzie administracyjnym pozbawiona została swej naturalnej stolicy, oraz najpoważniejszego ośrodka badawczego, jakim niewątpliwie był Gdańsk. Pomorze pozbawione centralnego muzeum i archiwum musiało w inną stronę przesunąć ośrodki tradycji naukowych. I znów znamienny objaw. Już w roku 1920 rzucona została myśl założenia w Bydgoszczy Akademi Rolniczej. Myśl ta w części zrealizowana spowodowała żywą wymianę dyskusyjną jaka toczyła się szczególnie w Poznaniu. Co pewien czas pojawiają się artykuły, omawiające konieczność stworzenia jednego ogniska naukowego. W rozmaitych kierunkach podążają myśli i zamierzenia inicjatorów. Wystarczy podkreślić, że poważnych prac publicystycznych ukazało się z górą 50. Szczególnie silne zabiegi przeprowadzać poczęło Towarzystwo Naukowe w Toruniu, którego prezes ksiądz A. Mańkowski stał się autorem bardzo szczegółowo opracowanych zestawień. Autor ubolewa, że dążenia regionu do stworzenia wyższej uczelni uwieńczone zostały tylko Politechniką, w dodatku pozostałą poza granicami wielkiego Pomorza. „Pora jest na to, by zaniedbanie wiekowe naprawić, dać Pomorzu to, czego potrzebuje do życia kulturalnego i co ściślej jeszcze tę ziemię zespoli z całością Polski".

Zygmunt Mocarski zebrał również znamienne głosy profesorów wyższych uczelni. Najczęściej przemawiali uczeni poznańscy profesorowie Almae matris Posnaniensis — Adam Wodziczko, Wojciechowski, Kostrzewski i Silnicki. Ożywiona wymiana publicystyczna sięgała bardzo daleko w przyszłość. Przedmiotem rozpraw było już nie tylko założenie warsztatu naukowego, ale już skonkretyzowanie form, w jakich miałby pracować Uniwersytet Pomorski. I tak, prof. Kostrzewski radził, aby szkole akademickiej nadać pierw charakter Instytutu Badawczego, Karol Górski chciałby widzieć w Toruniu wydział zamiejscowy Uniwersytetu Poznańskiego. Odmienne projekty wysunął Józef Borowik, opowiadający się za stopniowym powołaniem Szkoły Nauk Politycznych, Szkoły Gospodarczej i Akademii Prawa Administracyjnego. Inni uczeni zwracają uwagę na potrzebę pogłębiania badań historycznych, przyrodniczych, geograficznych i etnologicznych, ziemi Pomorskiej. Odrębną kartę w wysiłkach utworzenia Uniwersytetu zajmuje Instytut Bałtycki. Wybitne koła uważają ten instytut, jako kamień węgielny przyszłej szkoły akademickiej Pomorza. Dotychczasowa produkcja naukowa w znacznej mierze uzasadnia słuszny do tego tytuł Instytutu Bałtyckiego. Mocarski nie podziela tego zdania i uznaje Instytut Bałtycki jako ośrodek do badań specjalnych, związanych raczej ściśle z nazwą. Natomiast myśli Mocarskiego koncentrują się w dużej mierze na Toruniu. W nim widzi autor broszury warunki, atmosferę naukową i możliwości utworzenia Uniwersytetu Pomorskiego. Zdaniem autora, podbudową środowiska uniwersyteckiego są zbiory Książnicy imieniem Kopernika, zbiory muzealne i bogate archiwum miejskie. Wszystkie te instytucje umieszczone dziś zresztą w fatalnych warunkach lokalowych otrzymają już niebawem nową siedzibę. Będzie to nowy gmach Muzeum Ziemi Pomorskiej. Konkluzje Mocarskiego odrzucają na drugi plan inne dziś, a tak wpływowe i pulsujące bujnym życiem środowisko, a mianowicie: Bydgoszcz i Gdynia. Gdyni pozostawił autor robotę badawczą w zakresie problemów morskich, ważnych dla celów praktycznych, nastawianych pod kątem raczej gospodarczym. Gdynia ma być powołana na ośrodek polskich badań oceanograficznych. O ile chodzi o Bydgoszcz, to autor przyznaje jej możliwości jedynie w dziale ekonomii i organizacji rybactwa, a to dzięki zasługom Państwowego Instytutu Naukowego, Gospodarstwa Wiejskiego. Pominięte zostały możliwości kulturalne, jakie posiada Bydgoszcz, dzięki zbiorom naukowym i bibliotece miejskiej, muzeum miejskiego itd. Zresztą nie martwe mury i bogate foliały czy rękopisy, złożone dziś w większości w Gdańsku i w Królewcu, stanowią o rozmachu nowej

uczelni. Istotę i rdzeń sprawy stanowią zawsze ludzie. Znamy całą grupę wybitnych profesorów i asystentów z Warszawy, Poznania, Lwowa, a nawet dalekiego Wilna, którzy na wieść o utworzeniu Uniwersytetu pierwsi złożą wniosek o przeniesienie swych katedr na Pomorze.

Ostatnia inauguracja prac wydziału Pomorzoznawczego Instytutu Bałtyckiego, jaką z wielkim blaskiem obchodziliśmy w toruńskim Dworze Artusa, jest dowodem ciągłej ruchliwości Instytutu Bałtyckiego. Instytut swym zasięgiem obejmuje całe Pomorze i już obecnie wydział Pomorzoznawczy przygotowuje obszerną monografię z dziedziny socjologii i etnografii Kujaw, oraz gromadzi materiały do analogicznej rozprawy z terenu Kaszub. Fakty te wskazują jak najwyraźniej, że realizacja idei uiwersyteckiej posunęła się o nowe etapy naprzód. Broszura Zygmunta Mocarskiego przygotowana w chwili prawdziwej aktualizacji tego zagadnienia, kończy się śmiałymi tezami, które krystalizują się w następujących punktach:

Idea uniwersytecka na Pomorzu obok wspomnienia ogólnych celów naukowych ma za zadanie:

a) pielęgnowanie badań regionalnych Pomorskich, Kujawskich i Bałtyckich;

b) promieniowanie badawcze w regionach państw bałtyckich;

c) wypełnianie zadań naukowych, wynikających z faktów dostępu Polski do morza i postępującego rozwoju ekspansji morskiej;

d) uzupełnianie badań naukowych Poznania, w kierunku Słowiańszczyzny zachodniej i Wilna, w zakresie wschodnio-bałtyckim.

Wreszcie Mocarski oświadcza się za podniesieniem Torunia, a z kolei również i Gdyni do liczby miast uniwersyteckich w Polsce.

Pojawienie się rozprawy grupującej w syntetycznym przeglądzie, dotychczasowe starania uczonych i publicystów nad powołaniem nowej Akademii Pomorskiej, przyjęła opinia naukowa z radosnym odźwiękiem.

Najwyższy jednak aplauz niezależny od poglądów merytorycznych zdobyła sobie rozprawa wśród rzesz młodzieży pomorskiej, rozproszonej po wszystkich ośrodkach naukowych w Polsce. Młodzież ta żywiąca gorącą miłość do swego regionu z wdzięcznością przyjmuje każdy głos, torujący drogę do powstania samodzielnej „Alma Mater Pomerania".

MGR. JAN GRUCHAŁA

DUSZE RZEWNIE ZAPŁAKAŁY...

OD REDAKCJI.

Poniżej zamieszczamy ciekawe spostrzeżenia mgra Jana Gruchały z dziedziny dawnego obyczaju i obrzędowości ludowej pomorskiej, tym cenniejsze, że stary zwyczaj pomorski, jak każdy zresztą rys charakteryzujący region, coraz bardziej zanika. Artykułem tym chcemy ten stary obyczaj p. t. Czytelnikom Biuletynu przypomnieć.

. . . .

Na leżącym na wzgórku cmentarzu, wioskowym oszronione drzewa smętnie szumią.

Byli już na grobach krewni i znajomi, ustawili migotliwe światełka, westchnęli, pomodlili się, temu i owemu błysnęła łza w oku; — ale teraz, po odprawionych modłach kościelnych, miejsce wiecznego spania opustoszało. Ustały modlitwy, ucichły głosy ludzkie.

Przy bramie cmentarnej dziad proszalny skrzypiącym głosem wyśpiewywał ostatnie tony zapomnianej pieśni o trzech duszach, które strasznie zgrzeszyły.

„W dzień zaduszny wiatr powiewa,
Na cmentarzu skrzypią drzewa;
Nie skrzypią tam stare drzwa.
Tylko dziad pod krzyżem śpiewa.
Aż się trzy duszyczki zlękły
I na kolana uklękły.
Dusze rzewnie zapłakały
I ku niebu zawołały:
„Niebo, niebo, przyjmiże nas,
Bo Pan Jezus znać nie chce nas".
A niebo im odpowiada:
Oj, biada wam, biada, biada,
Czemużeście nie słuchały,
W ciężkich grzechach umierały.
Dusze rzewnie zapłakały
I ku lasom zawołały:
Lasy, lasy, przyjmijcie nas,
Bo Pan Jezus znać nie chce nas.
A szum lasu odpowiada:
Oj, biada, wam, biada, biada.
Czemużeście nie słuchały,
W ciężkich grzechach umierały.
Dusze rzewnie zapłakały
I ku wodom zawołały:
Wody, wody, przyjmijcie nas,
Bo Pan Jezus znać nie chce nas.
A szum wody odpowiada:

Oj, biada, wam, biada, biada,
Czemużeście nie słuchały,
W ciężkich grzechach umierały.
Dusze rzewnie zapłakały
I ku ziemi zawołały:
Ziemio, ziemio, przyjmijże nas,
Bo Pan Jezus znać nie chce nas.
A ziemia im odpowiada:
Oj, biada, wam, biada, biada,
Czemużeście nie słuchały,
W ciężkich grzechach umierały.
Dusze rzewnie zapłakały
I ku piekłu zawołały:
Piekło, piekło, przyjmijże nas,
Bo Pan Jezus znać nie chce nas.
A tam w piekle radzi byli,
Wrota piekieł otworzyli,
Otworzyli — jak szeroko
Tę otchłań strasznie głęboką.
Dusze rzewnie zapłakały
I do Matki Boskiej zawołały:
Matko Boska, przyjmijże nas,
Bo Pan Jezus znać nie chce nas.
Matka Boska do się wzięła,
Swym płaszczykiem ogarnęła.
Piotrze, Piotrze, otwórz drzwiczki,
Wpuść do nieb te duszyczki".

Skończył dziad pieśń swoją i do ludzi dobrych poszedł na przygotowany dla siebie posiłek.

Szanowano starego, bo dużo przeżył, dużo widział, dużo wiedział, a wiedział i widział tym bardziej, że urodził się w dzień Uroczystości Wszystkich Świętych. Ludzie zaś w przed dzień Dnia Zadusznego urodzeni są obdarzeni jasnowidztwem, mają dar widzenia tych, co już w Zaświatach przebywają.

Spore obsiadło grono siwego staruszka i każdy miał pytanie jakieś, rzecz jakąś dziwną, której nie mógł sam wytłumaczyć, bo była dziwna, tajemnicza, nie z tego świata.

„Ot, nie wierzą już dziś ludzie w dużo rzeczy", rozpoczął staruszek, mają głowy zaprzątnięte sprawami innymi, gonią za bogactwem i zaszczytami. Czasu nie mają wspomnieć w jedynym dniu o tych, co odeszli. A trzeba wiedzieć, że w jedynym tym czasie, raz w roku, w noc z Wszystkich Świętych na Dzień Zaduszny umarłych dusze po świecie idą. Spieszą się biedne duszyczki bardzo, bo i kościół trzeba odwiedzić, a robią to dusze w niebie przebywające; pod bramę kościelną przychodzą dusze czyśćcowe, a po rozstajnych drogach jęczą dusze potępieńców. A wszystkie gdzieś kogoś mają, gdzieś komuś chcą coś przypomnieć czy o coś poprosić.

Dusze zapomniane i opuszczone do samotnie mieszkających pukają, objawiają się im i wspólnie z nimi odprawiają modlitwy. Niebezpieczenie jest wymawiać się, jak również niebezpieczne jest i uciążliwe obcowanie z duchem.

Duch taki bowiem, opuszczony przez wszystkich, znalazłszy odważnego i śmiałego człowieka, każe codziennie o oznaczonej porze, najczęściej o północy, przybyć na odludzie i tam wspólnie odbywać pokutę.

Niedotrzymanie słowa pociąga za sobą niechybną śmierć. Ho, dużo już ludzi w ten sposób ze świata zeszło.

Nierozwagą i prawie szaleństwem było by wychodzenie wieorzcem w pobliże cmentarzy, kaplic czy kościołów.

W Mechowej pewna kobieta, mimo ostrzeżeń domowników, wyszła na pobliski cmentarz. Tutaj ujrzała niedawno zmarłą przyjaciółkę, która radziła jej natychmiastową ucieczkę do domu. Kobieta ta przestraszona niespodziewanym widziadłem, w pośpiechu zgubiła ciepłą chustkę do głowy. A nazajutrz chusta owa w strzępach porozkładana była na wszystkich grobach. Los taki byłby spotkał wieśniaczkę, gdyby nie była na czas schroniła się w domu.

Świat roi się od dusz. Wszędzie ich pełno. Łatwo duszę potrącić czy nawet uszkodzić i dlatego należy siedzieć w pokoju na jednym miejscu. Barbarzyństwem byłoby wylewanie wody po godzinie ósmej wieczorem. Oblana dusza cierpi niewymownie, jako że na dworze już zimno, mróz i wiatr.

W czasie Zaduszek nie próżnuje i zły duch, który psoci się biednym duszom i prześladuje je...

Bardzo ludzie uważają, by nie było żadnych wesołych śpiewów czy muzyki, bo diabeł, szukający dusz, zwabiony muzyką, przychodzi i tańczy, tańczy — taniec — śmierci, porywając i uprowadzając najweselszą pannę czy parobczaka do piekła. Nie było wypadku, by rybak na połowy w dniu tym wyjeżdżał. Morze jest wzburzone jakąś niezwykłą siłą i żąda ofiary".

— — — — — — — — — —

Przytoczone wyżej wierzenia spotkałem wśród ludu kaszubskiego. Pieśń o trzech duszach słyszałem w okolicach Chełmna.

PRZEZ WIELKIE POMORZE DO WIELKIEJ POLSKI

ALOJZY SPICHALSKI inżynier
Warszawa

Z WYCIECZKI DO MOŚCIC

Stowarzyszenie Teletechników Polskich zorganizowało niedawno wycieczkę do Tarnowa i pobliskich Mościc, gdzie znajduje się fabryka związków azotowych. Brałem w niej udział, więc podzielę się spostrzeżeniami z czytelnikiem. Na czoło zagadnień dzisiejszej polityki wewnętrznej wysuwają się coraz wyraźniej dwa zagadnienia: obrona kraju oraz wzmożenie i unarodowienie życia gospodarczego. Chociaż sam Tarnów jest dosyć daleko, niemniej jednak żywotność zagadnień zaintereuje nas Pomorzan, pionierów w walce z żydami o unarodowienie życia gospodarczego i handlu.

Fabryka w Mościcach wytwarza związki azotowe służące jako sztuczny nawóz dla rolnictwa. Podstawowymi składnikami produkcji to azot i wodór. Azot otrzymuje się z powietrza. W tym celu spręża się je do ciśnienia około 200 atmosfer, a następnie rozpręża, przy czym oziębia się ono i chłodzi nierozprężone dopływające świeżo powietrze. Przez stopniowe ochładzanie następuje skroplenie powietrza. Ten sposób skraplania nazywa się metodą Lindego. Z ciekłego powietrza odparowuje najprzód bardziej lotny azot chwytany w osobnym zbiorniku a pozostały płyn coraz bogatszy w tlen stanowi właściwie produkt uboczny. — Wodór uzyskuje się znów przez działanie pary wodnej na rozpalony koks. W wysokiej temperaturze rozkłada się woda na wodór i tlen. Tlen łączy się z koksem na dwutlenek węgla i rozpuszcza się w wodzie. Pozostaje tylko sam wodór. — W grubym stalowym zbiorniku t. zw. bombie syntetycznej łączy się on z azotem pod ciśnieniem 300 atmosfer na powszechnie znany amoniak NH_3. Ten skolei daje się utleniać i w obecności pary wodnej zamienia się na kwas azotowy HNO_3, który jest zasadniczym składnikiem do produkcji wysokoprocentowych nawozów azotowych jak saletra amonowa czy sodowa.

Skroplone powietrze z wyglądu podobne do wody przechowuje się w otwartym naczyniu o podwójnych ściankach w rodzaju wielkiego termosu. Przelane do zwykłego naczynia wrze intensywnie w temperaturze około — 190°C. Nic też dziwnego, że rurka gumowa zanurzona w nim na chwilę twardnieje i daje się łamać. Na moment jednak bezpiecznie zanurzyć tu palec, gdyż wytworzona warstwa gazowego powietrza izoluje palec od cieczy. Nie odczuwa się wcale wilgoci. Powietrze rozlane na posadzkę ulatnia się tak, jak woda rozlana na rozpaloną płytę żelazną.

Ciekawa w swoim rozdzaju jest wspomniana bomba syntetyczna. Grubość jej ścianki wynosi 150 mm. W kołnierzu tkwią śruby, których same nakrętki ważą po 9 kg. Bombę tę montowała czeska firma „Skoda . Przy odbiorze próbnym napełnił ją monter wodą pod ciśnieniem 500 atmosfer. Wskutek nieszczelności wytrysł cieniutki strumień wody o takiej szybkości, że nieostrożnemu monterowi odciął głowę a jego pomocnikowi lewą rękę.

Pomijam dalsze opisy procesów chemicznych, by nie nudzić czytelników wojujących z gimnazjalną chemią i fizyką. Zwrócę zato uwagę na znaczenie Mościc pod względem militarnym i gospodarczym.

Znamy wszyscy zwykłą sól kuchenną. W jej skład wchodzą dwa pierwiastki sód i chlor. Sód przerabia się w Mościcach na saletrę sodową, a odpadkowy właściwie chlor stanowi główny składnik dzisiejszych gazów bojowych a także i niektórych środków wybuchowych. W wojnie przyszłości obok bohaterskiej postawy żołnierza decydującą rolę odegra zdolność produkcyjna przemysłu wojennego. Dotychczasowy nasz przemysł skupiał się na Śląsku tuż nad granicą niemiecką. Mościce zaś leżą w środku kraju. Jeśli wróg odetnie połączenie komunikacyjne ze Śląskiem i wyczerpie się nawet zamagazynowany węgiel, to mimo to w dalszym ciągu piece będą opalane gazem ziemnym, który dopływa tu rurociągiem z Jasła. Zasilanie energią elektryczną będzie mogło odbywać się z zakładów wodno - elektrycznych w Porąbce nad Dunajcem. Ze Starachowic do Mościc prowadzi bowiem linia elektryczna o napięciu 150 tys. woltów najwyższym dotychczas w Polsce. Na linii tej można równocześnie prowadzić zwykłą rozmowę telefoniczną! Wyrażając podziw dla Mościc, dowiedziałem się, że dużo jeszcze mamy do zrobienia w porównaniu do Niemców, którzy pod Magdeburgiem zbudowali sobie potężną fabrykę chemiczną „Leuna - Werke". Jest ona podobno 50 razy większa od Mościc. W samym laboratorium pracuje 600 inżynierów.

Mościce posiadają również wybitne znaczenie gospodarcze. Dziś wprawdzie rolnictwo może wyżywić nas nawet bez intensywnej kultury rolnej. Skoro jednak zaznaczy się w przyszłości odpływ nadmiaru ludności wiejskiej do przemysłu i wróci równowaga gospodarcza ludzie będą więcej spożywać a dobrodziejstwo nawozów sztucznych będzie wybitne.

Mościce to jeden z przejawów planowej gospodarki inwestycyjnej która stosowana w szerszej skali jedynie i wyłącznie może podnieść naszą stopę życiową. W czasie budowy nowych warsztatów pracy

ogół musi przejściowo mniej konsumować, by produktami własnej pracy dzielić się z tymi, którzy dawniej byli bez pracy a teraz pracując jedzą więcej, lepiej się ubierają i pragną przyzwoicie mieszkać. Do rozbudowy gospodarczej potrzeba dwóch rzeczy: pierwsza to oszczędność naturalna lub w postaci inflacji kredytowej, druga to obszerny dokładnie przemyślany plan gospodarczy. Rozwój przemysłu wiąże się z rozwojem rolnictwa i odwrotnie, rozwój jednej dzielnicy z rozwojem drugiej, chociaż początkowo musi ona ponosić pewne ofiary. Mylny jest sąd, że rozbudowa gospodarcza jednej części kraju powoduje automatycznie zastój drugiej części, niby przelewanie z jednej beczki w drugą.

Sam Tarnów miasto o 60 tys. mieszkańców a więc tego rzędu co Grudziądz lub Toruń, jest straszną dziurą prowincjonalną. Pytamy dlaczego. Odpowiedź prosta: powodują to żydzi znani od wieków ze swego niechlujstwa. Już Tacyt pisze o nich: „Judei gens sordida ac absurdalis“... Jadąc tramwajem nie widziałem dosłownie żadnego sklepu chrześcijańskiego, sami brodaci potomkowie Izraela. Nie wiem ilu ich tam jest procentowo. Konduktor twierdził, że tylko 45%, robotnik upierał się stanowczo przy 60%. Nie cierpią ich tu jak zresztą wszędzie. Dziwni są jednak ci ludzie ze swoją bezradnością. Nie mogę proszę pana, mówi konduktor, przy swojej pensji 150 zł wyjeżdżać daleko po zakupy i przepłacać towar u Polaków. Kolega wtajemniczony w stosunki tamtejsze opowiadał, że z Okręgu Centralnego zostali oni częściowo wyparci przez element chłopski i kupców poznańskich oraz pomorskich. Tych ostatnich wita się tam prawie jak zbawców, a oni sami robią kokosowe interesy. Związki bławatników chrześcijańskich z województw centralnych powaliły już kilka żydowskich fabryk łódzkich, które nie tak dawno ośmielały się jeszcze sprzedawać towary po niższej cenie dla żydów niż dla Polaków. W woj. warszawskim powstało w jednym roku 1200 placówek polskch a upadło 800 żydowskich. Tarnów jednak wysunięty na południe jest w dalszym ciągu eldoradem żydowskim i zapewne powitałby z radością inicjatywę pomorskich kupców. Warto pokusić się o to miasto bo ma ono przed sobą przyszłość.

Istnieją wśród nas ludzie,którzy narzekają i wmawiają wszystkim, że my Polacy nic nie tworzymy, nic nie jesteśmy warci. Takich zaprowadziłbym do Mościc i do budującego się Okręgu Przemysłowego. Pokazałby nowe żelbetowe gmachy fabryczne wyrastające na podłożu niedawnej nędzy chłopskiej wśród najwstrętniejszych żydowin. To wszystko buduje się wbrew różnym hałasom, biadolaniom i nieróbstwu. I tak być musi. Bo budowa mocarstwowej Polski to jedyny czynnik, który wbrew wszelkim różnicom politycznym skupić może cały naród polski. Przed młodzieżą naszą stoi jedno ważkie zadanie: udział w tej wielkiej budowie. Potrzeba ludzi o wykształceniu techniczno-przyrodniczym. Pomorze musi dać ich więcej niż dotychczas.

MGR WIKTOR KRASIŃSKI.
Warszawa.

LITERATURA A ŻYCIE

Publiczność literacką tworzymy wszyscy, zarówno twórcy literatury, jak i my, jej konsumenci — czytelnicy. Chciałbym tu omówić stosunek naszej publiczności czytającej, do zjawisk literackich, wśród której może nie mniej znajdziemy zróżniczkowanych zamiłowań, gustów, szczerych miłośników i snobów, niż u pisarzy. Zresztą czytelnicy oddziaływują na twórców po wielekroć jak nie zorganizowana i anonimowa jakaś mafia, narzucająca im często swe upodobania i sentymenty literackie. Nie da się bowiem zaprzeczyć, że literatura jest zjawiskiem społecznym, może tylko mniej uchwytnym, mało na pierwszy rzut oka konkretnym. Doniosłość zjawisk literackich w życiu społecznym jest bezsprzecznie wielka, często jednak, niestety, nie docenia się tego faktu, ze względu na ich powolne działanie w czasie.

Jeśli chodzi o warunki naszego życia społecznego, uprzytomniamy sobie na pierwszy rzut oka, że między okresem t. zw. przedwojennym a współczesnym istnieje w naszym dorobku literackim wyraźnie zaznaczająca się granica. Stworzyły ją rozbieżne zagadnienia ideologiczne i formalne, dominujące w okresie poprzednim z racji przemian, jakie zaszły w życiu naszego kraju po roku 1918. Żeromski, Wyspiański, Kasprowicz — oto słupy graniczne tamtego okresu naszej literatury, dziś już niepowtarzalnej, wielkiej, choć tak innej, niż najbliżej nam współczesna, dzisiejsza.

Epoka twórczości Wyspiańskich i Żeromskich była epoką o ideę wyzwoleńczą, przenikającą tak silnie wszystkie zagadnienia „uboczne“, że nawet twórczość autora „Ludzi Bezdomnych“, czy Reymonta, mimo pewnych usiłowań realistycznych, pozostała taką jaką już być musiała — bojującą o Duszę Narodu ironią, nieraz sarkazmem czy wybuchami liryczno patriotycznymi.

Gdy oto zmieniły się warunki społeczne, twórczość pisarzy, że się tak wyrażę, zeszła z koturnu idei wyzwoleńczej na warsztat. Słowo. jako narzędzie literackiego wypowiadania się, poddano na nim zabiegom technicznym: obróbce i szlifowaniu formy. I znów mamy dosadnie występującą współrzędność zjawisk literackich oraz epoki, w której zjawiska te powstają. Przyszły czasy nowe, a wraz z nimi nowa literatura. Tylko, że w okresie przedwojennym idea przewodnia literatury była wyraźna — i jedna. Dziś, wobec odzyskania niepodległości, a co za tym idzie i zróżniczkowania naszego życia społecznego. idea przewodnia jest trudniejsza do uchwycenia, choć znów jest jedna: utrwalenie ludzkiego losu, tej przemijającej mgły w dziejach wszechrzeczy, mocą wieczystej fikcji literackiej.

Powiedzmy sobie szczerze, bez snobizmu, że poszukiwania formalne naszej współczesnej literatury zaskoczyły potrosze nas, czytelników i odstraszyły od tego typu twórczości. W większości bowiem twórczości powieściowej czy poetyckiej widzimy zmagania autorów z tematami. naginanie treści do formy utworów i nawzajem, przenikanie elementów czysto formalnych do treści, deformujących ją nieraz w sposób bardzo wyrafinowany i czasem aż dziwaczny. Bezsprzecznie, usiłowania formalne współczesnej literatury mają swój niezaprzeczony walor — niestety tylko dla znawców i smakoszów literackich. Są to bowiem te regiony żonglerki słowa, gdzie dociera się po długich i żmudnych wysiłkach, po poznaniu wszelkich tricków i tradycyj szkół literackich. Tylko solidne i wysokie znawstwo może ocenić owe usiłowania formalne i pożytek z nich dla literatury.

Formalizm literacki, mimo swych właściwości hamujących w stosunku do czytelnika, jest szczeblem w górę na drodze do postępu, ale może być również i szczeblem wiodącym w dół

Czytając regularnie, a sumiennie (nie chodzi o ilość!), przekonywujemy się, że wszelkie te usiłowania, podejmowane jakże często przez piszących. a nie mających nic do powiedzienia, prowadzą w rezultacie do... pisania o niczym. Wtedy z tej zapiekłej retorty formalizmu wychwytujemy tylko słowa, słowa... Właśnie ów nieodpowiedzialny potop słów pustych jest plagą utworów tych literatów, którzy i bez wypinania się na wyrafinowane formy, nic wnieść by do literatury nie mogli.

Klęską współczesnej twórczości jest więc fakt, iż zbyt mało mamy pisarzy, a za wielu literatów.

Właściwością talentu pisarza jest właśnie ów dziwny dar specyficznego widzenia rzeczy, mocą którego twórca utrwala swoje wizje i odczucia w fikcji przedziwnie konstruowanego słowa nieuchwytną zmienność przemijających zjawisk życia, tworząc z nich nową i trwałą rzeczywistość.

W tym właśnie miejscu chciałoby się krzyknąć w stronę literatów słowami Wieszcza: „Słowa układasz"! Pisarz bowiem poza układem słów, czyli zagadnieniami formalnymi widzi i wie niewypowiedzianie więcej: wyczuwa i rozumie życie. A nawet nie tylko je widzi, ale je mocą swego talentu wstrzymuje w jego zmienności i tworzy na nowo. Oto prawdziwa, istotna twórczość, do której lgną bezwiednie rzesze czytelników, głodne tego życia i ciekawe. Nie ma bowiem człowieka, który by mógł ogarnąć wielorakość zjawisk życia, a jeśli nawet sam żył długo i bujnie, to każde jego przeżycie własne, ujrzane w innym oświetleniu, rozczepione przez pryzmat talentu pisarza, daje mu niezastąpioną niczym, najwyższą satysfakcję. Jeśli zechcemy ponadto pomyśleć, iż właśnie w epoce, zdawało by się najbardziej ekspansywnej, twórczej, kroczącej w siedmiomilowych butach postępu, wegetują olbrzymie rzesze ludzi cierpiących na niedokrewność czynu we własnym życiu, które w literaturze chcą mieć namiastkę tych przeżyć, jakich poskąpiło im życie?

Że tak jest niewątpliwie, wiemy sami z własnego. codziennego doświadczenia. Robotnik, przykręcający życie całe przydzielony mu do montażu komplet śrub, czy urzędnik dokonywujący tylko wpłat i wypłat, to przecież ci ludzie, których indywidualności są brutalnie i bezwzględnie pominięte w bezdusznym automatyźmie współczesnego życia, mechanizującego się coraz bardziej na drodze do postępu. I właśnie owa anemia przeżyć we własnym, indywidalnym życiu przyciąga ludzi do literatury.

Twórczość literacka wyzwala ze zautomatyzowanego pionka ludzkiego jego własne „j a", daje temu „ja" nieograniczoną swobodę i pierwszeństwo w przeżywaniu wzruszeń, które przez chwilę, mocą sugestii, poczytuje za własne. Tutaj już nie sięga papierowa, anemiczna również pisanina literatów, bo nie daje smaku życia ludziom spragnionym. Stąd niezrozumienie szerszych mas czytelników dla twórczości formalnej, dla tych wyrafinowanych usiłowań z których nie rodzi się życie, a przeciwnie, wyłania się subtelna i niezrozumiała czczość i pustka.

Na poparcie tych wywodów sięgnę po przykład najjaskrawszy. „Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy" Sergiusza Piaseckiego, przykuwa do siebie licznych czytelników urokiem przeżyć, zapewne że niezbyt wzniosłych, ale bujnych, działających na wyobraźnię, na przemian groźnych i beztroskich, ludzkich i zwierzęcych. Nawet czytelnik nie zawsze pamięta o podłożu, na którym te przeżycia powstały, ale na ich różnorodną gamę, że tworzą dla niego obraz życia nie papierowego, lecz najbardziej ludzkiego.

Dałem tu, jak już zaznaczyłem, przykład najjaskrawszy, a ile mamy dzieł z życia ludu wiejskiego, robotniczego, napisanych z prawdziwym talentem, które się czyta jednym tchem, od deski do deski?

A więc przy niedokrewności życia własnego czerpiemy szlachetne jego namiastki z twórczości literackiej, sztukujemy i łatamy naszą własną, ubogą wegetację. Im bogatsze jest życie czytelnika, tym istotniejszy i żywszy jest jego stosunek do literatury. Szuka się wtedy rozwiązań i pogłębień własnych przeżyć, wzbogacając je w ten sposób zdobytą refleksją. I tylko lenistwo opiera się książce lub czasem uprzedzenie do swoich możliwości czytelniczych.

Bronimy się przed czytaniem jakiegoś utworu, twierdząc, że jest dla nas za mądry. Nie bójmy się. Wiele utworów, które uznamy za zbyt dla nas mądre, „rozgryziemy" snadnie, bez obawy połamania sobie o nie zębów, jeśli... one nas zainteresują. Zainteresowanie się utworem w pierwszym rzędzie decyduje o jego przeczytaniu.

Reasumując — literaturą dobrą jest dla czytelnika ta, która mu daje przekrój życia, skłania do obserwacji i poznawania tego najciekawszego zjawiska na świecie, gdyż jak mówi Philarète Chasles. „Ludzie są daleko ważniejsi od książek. Najpiękniejsza książka jest tylko niezupełnym fragmentem myśli człowieka". Stąd prosty wniosek, że dzieło literackie i czytelnik muszą się dopełniać nawzajem, a wtedy zamierzenia pisarza osiągają swój najważniejszy cel: pogłębienie duszy człowieka.

Ks. pref. SZARKOWSKI
Gdynia

SYGNALIZUJEMY!

W sierpniu b. r., w kilka miesięcy po śmierci autora, ukazała się drukiem „Historia Kaszubów" Dr. Aleksandra Majkowskiego. Książka wyszła nakładem Komitetu Wydawniczego. Skład Główny: „Stanica" — Zrzeszenie regionalne Kaszubów, Gdynia, ul. Świętojańska Nr. 3 m. 3 II p.

Estetyczny wygląd zewnętrzny z gryfem kaszubskim na okładce, względnie dobry papier i druk, ilustracje w tekście wraz z podobizną autora na początku, jakby zachęcają czytelnika do przestudiowania „Historii Kaszub". Piszę do przestudiowania a nie tylko do czytania, gdyż pracę swą oparł ś. p. Dr. A. Majkowski na rzetelnie i z mozołem zebranych źródłach historycznych. Nie był wprawdzie zawodowym historykiem. Nie mniej dzieło to nie stanowi popularnego opowiadania, jakiejś gawędy historycznej. lecz jest dziełem źródłowym. Świadczy o tym literatura, zamieszczona pod koniec książki a wypełniająca niemal 5 stronic druku jak i przypiski i metoda opracowania. Dlatego należy je nietylko czytać lecz w popularnym znaczeniu tego słowa: przestudiować.

Dr. Aleksander Majkowski, lekarz z zawodu, z powołania przywódca duchowy ludu kaszubskiego, pozostawił „Historię Kaszubów" jako owoc całego życia — jak czytamy w „Przedmowie", podpisanej przez Komitet Wydawniczy. Przedmowa tłumaczy nam też genezę dzieła u atutora i intencje Komitetu Wydawniczego. W myśl tej „Przedmowy" Dr. Majkowski, który wyszedł ze środowiska kaszubskiego, wcześnie uświadomił sobie swoje pochodzenie. „Przebywając na studiach w Gryfii, gdzie znalazł wiele pamiątek pomorskich, historycznych, zadumał się nad przeszłością Kaszubów, a z dumań tych i beznadziejnego — zdawało się — ich współczesnego położenia politycznego, budować począł rodzinny świat idei. Od tego czasu powstawał w duszy Majkowskiego poemat dziejowy Pomorzan. Późniejsze wczytywanie się w kronikarzy i dziejopisarzy pomorskich oraz praca nad pisaniem historii Kaszubów - Pomorzan, to rzeczy wtórne. Najpierw była idea i wizja, a potym dopiero rosła historia". Tak oto tłumaczy nam genezę „Historii Kaszub" „Przedmowa".

Jest więc „Historia Kaszub" wyrazem światopoglądu Pomorzanina, dążącego do odrodzenia Kaszubów i marzącego o wskrzeszeniu ze szczątków pogermanizacyjnych nowego wielkiego Pomorza. Marzeniom tym daje autor rzeczywiście głęboki aczkolwiek często niedomówiony wyraz. To nam też tłumaczy zbyt śmiałe niektóre wnioski historyczne, dotyczące tak stosunków polsko - pomorskich jak i kościelno - pomorskich. Jak z jednej strony stronice książki tchną delikatną niekiedy przedziwną tęsknotą i miłością wielkiej przeszłości rodzinnych książąt pomorskich, tak z drugiej strony wyziera tu i ówdzie wyraźna niechęć do wrogów tej przeszłości, co jest oczywiście zrozumiałe. Przyczyniło się jednak zapewne do zmniejszenia obiektywizmu historycznego wobec germańskich ciemiężycieli i zdrajców Kaszubów. Komitet w swej „Przedmowie" wypowiadając się o intencjach wydawnictwa, stwierdza: „Komitet miał dwojaki cel na oku. Raz zależało mu na tym, żeby uratować dla Kaszub cenny wytwór ducha współczesnego przywódcy Kaszub,

nie zmieniając w niczym jego tekstu, powtóre, pragnął dzieje Pomorza uczynić znowu zagadnieniem aktualnym. Niech więc historycy wykażą słuszność lub niesłuszność wywodów dr. Majkowskiego, niech dzieło to stanie się pobudką do głębszych i rozleglejszych badań nad przeszłością Pomorza, a cel wydawnictwa będzie osiągnięty".

I niewątpliwie historycy zawodowi wypowiedzą swe zdanie o wartości wywodów ś. p. Majkowskiego. Pogłębi się dzięki temu znajomość rodzinnej ziemi, nawiążą się silniejsze więzy z obszarami historycznie pomorskim, a dzisiaj oddzielonymi od polskiej ziemi kordonem germańskiej granicy. Poznają nasi rodacy z innych rubieży Rzeczypospolitej nieugiętego ducha obrony Pomorzan przeciw niszczącym wpływom świata germańskiego na świat słowiański. Podkreślona silnie nierozerwalna łączność z Rzeczypospolitą, przeświadczenie, że to jest jedyna możliwość życiowa, potwierdza jakby powiedzenie Derdowskiego:

„Czujcie nam tu w serca toni
Nasz skład apostolski —
Nie ma Kaszub bez Polonii
A bez Kaszub — Polski".

Artykulik powyższy nie jest recenzją. Jest tylko sygnałem ukazania się dzieła, które Kaszubów i wszystkich Pomorzan winno zainteresować w pierwszym rzędzie. Nie mniej z pożytkiem czytać je może każdy, pamiętając jednak o genezie książki, o dawaniu w niej wyrazu światopoglądu zgóry powzięctego i zrodzonego z zadumań nad drogą przeszłością. Pewną ilustracją tego dzieła może byś Marsz czy Hymn Kaszubski Jarosza Derdowskiego. Czytając dzieło, wyczuwałem jakby dumne słowa tego hymnu, dlatego w zakończeniu go przytaczam:

„Tam gdzie Wisła od Krakowa
W polście morze płynie,
Polsko wiara, Polsko mowa
Nigdy nie zadzinie.
Nigde do zgube nie przyńdą Kaszube
Marsz, marsz z wrodziem, my trzymamy z Bodziem
My z Niemcami wiecie całe
Krwawe wiedle wojne,
Wolne pieśni w jedno brzmiałe
Bez góre i chojne.
Przyszedł Krzyżok w twarde blasze
Poleł wse i mniasta,
Za to jego cepe nasze
Grzmocele lat dwasta.
Nos zawołał do swy rote
Polści król Jagiełło,
Tej w niemieccich karkach gnote
Trzeszczało aż miło.
Krżyżem świętym przeżegnanie,
Siec, seciera, kosa,
Z tym Kaszuba w piekle stanie
Diobłu utrze nosa.
Nigde da zgube..." i t. d.

DZIAŁ AKADEMICKI

AKADEMICKIE KOŁO POMORZAN
we Lwowie.

NASZA DEKLARACJA

Wobec postawionych zarzutów Biuletynowi Pomorskiemu i na skutek zagadnienia celowości działania tego pisma oraz wszystkich zrzeszonych Kół Pomorskich, pragniemy wyrazić swoje w tej sprawie stanowisko, określając je jasno i otwarcie, ażeby nie mogło być pomiędzy nami i innymi nieporozumień.

Poza tym chcemy podać ogólne zasady, w oparciu o które, uważamy współdziałanie wszystktich Pomorzan za celowe i którymi my będziemy się kierowali, współpracując z Biuletynem Pomorskim.

Przede wszystkim odróżniamy sprawy wielkie, ogólne, nazwijmy je wszechpolskimi, którym jako wierni synowie Polski zawsze służyć będziemy. Krótko wyraźmy je hasłem: „Bóg i Ojczyzna". Ta dewiza krótka, a w treści swojej tak obszerna wymaga wielkiej idei. Idea ta nie jest i nie może być tylko własnością nas Pomorzan, ale musi być ona wspólna wszystkim Polakom w całej Polsce.

Oczywiście dobrze by było, gdybyśmy my Pomorzanie dla tej idei najwięcej zrobili, gdybyśmy po przesiąknięciu nią w całości się jej poświęcili i wszystkie nasze czyny dla dobra Polski i Pomorza zgodnie z nią wykonali.

A jaka ma być ta idea?

Musi być ona przede wszystkim polska, a więc wolna i niezależna od wszelkich sił nam obcych, czy to wewnętrznych, czy też międzynarodowych. Musi być ona czysta, a więc oparta na głębokiej wierze, którą daje nam Kościół Katolicki, z którym od wie-

ki wieków związana jest historia narodu polskiego i państwa polskiego, a bez którego nie można sobie wyobrazić naszego istnienia.

A wreszcie idea ta musi być wielka i mocna, bo chcemy Polski wielkiej i mocarnej, godnej naszych przodków Piastów i Jagiellonów.

My, Pomorzanie, służąc wiernie w myśl takiej idei Polsce, możemy oczywiście dążyć do stworzenia silnego Pomorza, możemy dążyć do tego, ażeby odegrać należną naszym wartościom rolę przede wszystkim na Pomorzu, oraz w całej Polsce. I nie narazimy się wtedy na zarzut hołdowania regionalizmowi, bo służąc Pomorzu, będziemy równocześnie służyli Polsce w myśl hasła: „Przez Wielkie Pomorze do Wielkiej Polski“.

A teraz zadajmy sobie pytanie, czy musimy szukać tej wielkiej idei, której chcemy służyć, czy też już ją znaleźliśmy. Odpowiemy bez wahania, że znamy ją i już jej służymy. Nazywa się ona ideą narodową, a jest ona w zupełności zgodna z trzema na wstępie postawionymi wielkiej idei zadaniami.

A więc niechaj nikt nie sili się na wymyślanie nowych idei (może w myśl bezideowości B. B. W. R.), niechaj nikt nie łudzi się tworzeniem nowych programów, które w rzeczy samej mogłyby być tylko nieudolną przeróbką istniejących — a wreszcie niechaj nikt nie próbuje jednoczyć w jeden obóz wszystkich ludzi, gdyż są tacy, którzy swoją wartością i ideowością różnią się jak ogień i woda.

Jesteśmy zdania, że jeśli chodzi o tworzenie nowych wartości na miarę Wielkiej Polski, to raczej należy wyeliminować tych wszystkich, którzy swoją bezideowością zarażają ogólną atmosferę, którzy przez długie lata głoszą hasła antynarodowe, a dla których słowo obywatel więcej znaczy niż słowo Polak. (Nie potrzebujemy tu oczywiście mówić o wyeliminowaniu wszelkich czynników wywrotowych i obcych nam narodowo i duchowo — to się przecież samo przez się rozumie).

A ponieważ żyjemy w takich czasach, w których ci, którzy wczoraj zwalczali słowo naród, dzisiaj uczą innych być narodowcami, oświadczamy, że nie uznajemy szybkich przeobrażeń duchowych, że nie wierzymy w ich szczerość, a tym bardziej wartość. — Może, gdybyśmy nie byli Pomorzanami, prędzej byśmy to zrozumieli, ale jako Pomorzanie, o prostych duszach i szczerych sercach, nie możemy tego uznać.

Stąd nie dziwi nas tak bardzo pesymizm niektórych ludzi, którzy dopatrują się w nowej akcji pewnej zależności, bo przecież takie starania wszędzie dzisiaj można zauważyć.

My wiemy o tym, że dla „podciągnięcia Polski wzwyż“ nie trzeba nam pięknych haseł, ale pięknych czynów, a czy do tych czynów zdolni są ci, którzy piękne hasła głoszą, wątpimy.

Wiemy o tym, że trzeba nam wielkich przemian trzeba sięgnąć do narodu po nowe wartościowe siły, a złe odrzucić.

Trzeba nam przede wszystkim sprawiedliwości. Nie może być jedna część narodu traktowana niżej od drugiej, nie może być wreszcie odebrane narodowi prawo swobodnego wypowiadania swej woli.

W końcu, jako Pomorzanie pamiętamy o tych, którzy dzierżąc godność włodarzy ziemi pomorskiej, lżyli Pomorzan w imię idei bezpartyjnej, którzy systemem „bata i bicia w mordę“ chcieli nas tej idei podporządkować.

Nie myślimy tu wcale oskarżać pewnych dzielnic, jak niektórzy to robią, winić za to Warszawę lub Galicję — byłby to błąd bardzo wielki. To przecież jedynie wina bezideowości tych ludzi, albo ich zależności od jakiejś obcej nam idei.

Dużo jest u nas rzeczy takich, które dla społeczeństwa pozostają czymś w rodzaju „Tabu“. Nie wolno się społeczeństwu tym zajmować, a chociażby nawet przestało to być tajemnicą, to społeczeństwo dowiaduje się, że tego w ogóle nie ma, że zrodziło się to w umyśle ludzi przewrażliwionych. — Myślimy o masonerii.

A więc jasno stawiamy sprawę:

Trzeba nam wielkich przemian i dla tych przemian będziemy pracowali.

Ale tutaj możemy spotkać się z zarzutem, że utrudniamy współpracę dla pewnego dobra, — ludziom, którzy nie hołdują tej samej idei, co my. A więc stwierdzamy, że poza sprawami, tyczącymi się wielkiej idei odróżniamy również sprawy mniejszej wagi, *a jednak dosyć wielkie,* ażeby mogły stanowić cel naszej pracy i poświęceń.

Do tych spraw zaliczamy:

1) Pracę organizacyjną nad pomnażaniem dobra kulturalnego i materialnego Pomorza, a tym samym całej Polski.

2) Odegranie właściwej naszym wartościom duchowym roli na Pomorzu we wszystkich możliwych dziedzinach.

3) Pielęgnowanie zalet, a wykorzenianie wad, czy to nam wrodzonych czy nabytych.

4) Wypromieniowywanie na całą Polskę tych wartości, których brak w innych dzielnicach.

5) Przyswajanie sobie dodatnich cech, których brak utrudnia nam zajmowanie odpowednich pozycji.

W wspólnych wysiłkach nad tymi zadaniami możemy wszyscy zgodnie pracować i nie sądzimy, ażeby nam Pomorzanom w tym przeszkadzały pewne różnice programowe.

Jak stąd widać nie trzeba nam tworzyć żadnych nowych obozów, czy też partii, nie trzeba nam też żadnych nowych idei — trzeba nam tylko pracować. a w szlachetnej pracy, *wykonanej zgodnie z naszym sumieniem*, napewno spotkamy się przy właściwej idei.

Na podstawie wyżej podanych zasad, a biorąc pod uwagę możliwość wniesienia dużych wartości przez Biuletyn Pomorski, deklarujemy naszą z nim współpracę i do tak pojętej pracy wzywamy wszystkich Kolegów Pomorzan.

Smielewski Bernard
b. Prezes A.K.P. we Lwowie
Edward Klemp
V-prezes A. K. P. we Lwowie
Śliwa Antoni
Prezes A. K. P. we Lwowie
Lwów, październik 1938 r.

JAN WALIGÓRA
Gdynia (Warszawa).

F U K S

— Przepraszam... przepraaa... — mruczał zawodowo tragarz, rozpychając walizami podróżnych na peronie.

— ...przepraaa...

— Jaka klasa? — rzucił za siebie w stronę depczącej mu po piętach grupki ludzi.

— Trzecia — padła odpowiedź.

Tadzik jedzie na studia! Tadzik doktorem! Och, co za radość! Im bliżej wagonu, tym bardziej uśmiechały się do siebie myśli obojga rodziców. A już najbardziej chyba cieszyła się z tego wyjazdu Tadzia, jego siostra Irka. Przecież Tadzio obiecał jej przywieźć prawdziwą, autentyczną czaszkę ludzką. Taką z prosektorium. Irka będzie mogła ją pokazać koleżankom w szkole, na anatomii. Chociaż... właściwie, to ona się trochę boi tego trupa. Brr... Ale, co tam! Słyszała kiedyś, że masoni używają czaszki nawet za cukierniczkę. Czy to prawda? Zresztą jej brat medykiem, jeżeli on się nie boi, to skąd ona, jego siostra...

Tymczasem matczyne serce drżało radością i lękiem równocześnie. Czy też ten chłopak da sobie radę w Warszawie? Takie miasto! A ludzi złych dużo na świecie. Najgorzej z tym mieszkaniem. Bo, to nie wiadomo z kim i u kogo... Bielizny starczy. Tak, dość. Zresztą, jak się zbrudzi, to można dać do wyprania. Albo... lepiej nie. Bo, to niby w Warszawie chlorkiem piorą. To już lepiej do domu przysłać. Jeść na razie ma co, wnet prawie pełną jedną walizkę. Z obiadami musi się jakoś urządzić...

Papa, którego łysinę przykrywał dziś świąteczny melonik, innego widział przed sobą syna... Dr Tadeusz... lekarz... Tak! Inne to będzie życie, niż dziś. W każdym razie nie urzędnicze. Przetrzyma się jakoś jeszcze tych kilka lat i lepiej będzie, napewno lepiej!

Odwrócił się z gestem największego zadowolenia i pewności siebie w stronę tragarza, który umieściwszy walizy na półce przy oknie, wychodził z wagonu.

— Proszę — mówił, wciskając tragarzowi do ręki złotówkę.

— Dziękuję.

— Tadziu! Irka, gdzie Tadziu? — zatrwożyła się matka, spostrzegłszy nieobecność syna.

— Zaraz przyjdzie, wstąpił do Bazaru po chusteczkę do kieszonki.

— Co on wyprawia. Przecież pociąg zaraz odchodzi.

Prawdę mówiąc, cieszyła się bardzo z tego, że jej syn chce ładnie wyglądać. Tylko, żeby kupił gustowną do ubrania.

— O, już jest. A tak się mamusia martwiła.

Przystojny ten Tadzio! Nawet mu dobrze w tym rozpiętym palcie. Tylko... kapelusz coś za sztywny. Co zrobić. Innego nie było w Bazarze. Zresztą, na Boże Narodzenie przyjedzie już w studenckiej czapce.

— Gotów!

— Proszę miejsca zająć!

Biedny Tadzik. Chcą go rozerwać. Przecież to moment pożegnania. Chwila odjazdu na długie tygodnie... Jeszcze raz... Jeszcze jeden uścisk.... Jeden pocałunek...

Nareszcie. Jest w pociągu. Otworzył okno.

— Odjazd!

Zwolna peron odbija od pociągu i zabiera ze sobą ukochane sylwetki.

— ...nie wychylaj się, broń Boże!...

— ...pisz prędko!... — padały ostatnie słowa, ledwo dosłyszalne.

Zamknął okno i razem z sapiącym, żelaznym potworem wpadł w przepaść nocy. —

. . . .

— Dokąd pan każe?

— Przechowalnia bagażu — rzucił w odpowiedzi tragarzowi.

...Gazety... papierosy...

...Pingwin lody...

...Lemoniada...

...Warsiawski kurier... wieeeczór... za piontkę codzienny i dooobry...

...Hallo — uwaga! Pociąg pospieszny w kierunku Warszawa — Berlin — Paryż odejdzie z peronu trzeciego poziomu dolnego o go...

Dość! Dość tego. Byle jak najprędzej na ulicę, do mieszkania, umyć się i odpocząć. Tak, przede wszystkim odpocząć...

Ba, ale gdzie?

Rzeczywiście. Całkiem zapomniał, że musi poszukać pokoju. No, trudno. Wpierw jednak trzeba się odkurzyć, umyć i wypić coś gorącego. Może do hotelu? Nie, nie ma tyle pieniędzy, a nie wiadomo jak prędko dostanie następne. Więc?...

— Już oddałem. Niech pan opłaci za przechowanie — przerwał Tadziowi w myślach tragarz, uśmiechając się na widok wyciągniętego portfelu.

Prędko załatwił się z przechowaniem bagażu i tragarzem i jak mógł najprędzej wybiegł z hallu dworcowego. Może ujrzy gdzie w oknie kartkę z treścią o wolnym pokoju... Może gdzieś na bramie przeczyta...

Tak, przeczytał:

„Mydłem Majdego, umyjesz każdego".

Trudno było nie dojrzeć tak wielkiej reklamy, która kolorowym neonem chyba wszystkich ściągała z dworca na Marszałkowską.

Poszedł więc przed siebie tam, gdzie długi sznur czerwonych wagonów wystukiwał codzienną pieśń stolicy, gdzie zgiełk i ruch uliczny urągali prawu.

...Zapalniczki... kamienie do... zapalniczki... zapal...

...Wattermana... oryginalne Wattermana pióro...

Nie słyszał jednak Tadzio tych słów. Przeszedł obok stołecznych naciągaczy, jak stary wielko-mieszczuch. Cała uwaga jego skupiła się znów na reklamie Majdego. Bo, oto na dachu tramwaju dostrzegł kolorową deskę opisaną tym tekstem, który rzucił mu się w oczy zaraz po wyjściu z dworca.

No, co?

Wstąpi do drogerii i kupi kawałek tego mydła, skoro mu już ono spokoju nie daje. Tymbardziej, że wszystko w walizie zapakowane, a umyć się trzeba.

Poszedł i kupił. Ale, co to wszystko znaczy wobec zmęczenia i tego, co go jeszcze czekało. Przecież trzeba gdzieś zamieszkać. Jak to zrobić? Gdzie się obrócić?

Zmierzył Marszałkowską okiem w lewo i w prawo jak daleko mógł i rzucił się wpław jezdni, wpadając po przeciwnej stronie w granatowe objęcia władzy.

— Skąd się pan wziął, co?

— Z Pelplina...

— Co mnie to obchodzi. Z nieba pan spadłeś, że nie wiesz jak się przechodzi przez ulicę? Złotówkę proszę płacić. A na drugi raz przechodź pan na rogach ulic i pod kątem prostym.

Tadzio mocno się zażenował. Dobrze. Zapłaci ile chce, byle prędzej i nie stać w tym jednym miejscu. Napewno podpadł. Napewno wszyscy się na niego patrzą w tej chwili jak na gościa z prowincji. Na dobitek jeszcze ten kapelusz z Bazaru... Też nie mogli mu lepszego kupić...

. . . .

Wzdłuż uśmiechniętej i szepcącej Wisły biegł bulwar od mostu Poniatowskiego do Kierbedzia... biegł... i wracał z zawrotną szybkością, ledwie dostrzegalną... Tam i z powrotem, wzdłuż płotu utkanego z lip biegł... i liśćmi spadającymi na ziemię wystukiwał prastarą melodię o Wandzie i Krakusie... Nieco wyżej Zygmunt ciągnął linkę sygnaturki u św. Jana i wydzwaniał pieśni zamierzchłe... Podskoczyły wieże zamczyska w takt Powiśla i Starego Miasta...

— Spróbuję — rzucił od niechcenia do siebie Tadzik w chwili, kiedy ostatnie promienie słońca tonęły już w falach Wisły.

Szary i beznadziejny widział świat przed sobą po całodziennym trudzie. Przebiegł z Kurierkiem w ręku wnet całe śródmieście. Wszystko na nic. Ładny pokój — był za drogi. Tani zaś, nie do zamieszkania. I tak wkółko. Możeby jednak wziąć ten na Zjeździe za trzydzieści złotych, albo ten na Dobrej za dwadzieścia i pięć... Choćby narazie. Byle głowę skłonić i do poduszki przyłożyć.

— Nie! Jeszcze raz spróbuję. Pójdę na... na Radną — dokończył, czytając z popołudniowego wydania kuriera.

Wstał, poprawił na sobie zmięte palto, kapelusz i drobnym krokiem ruszył naprzód, przecinając Kościuszkowskie, Dobrą, w kierunku Radnej.

Numer siódmy, mieszkanie czterdzieści dwa — wyczytał z gazety.

Nic nie szkodzi. Zobaczy.

Stanęła przed nim kamienica dziwna, brudna i milcząca. Z jej czeluści na widok niezdecydowanego Tadzika, wysunęła się postać dozorcy okulbaczona jakimś serdakiem i buchnęła odorem z żołądka:

— Pewnikiem na mieszkanie, he?

— No... tak. Ale pan skąd wie? — zdziwił się Tadzik.

— Nie trudno zgadnąć. Jak już facet z wystraszoną gębą się rozgląda, a kuma Zajdzińsko oknem bez podwórko z czwartego piętra wypatruje, to znakiem tego suplikator na mieszkanie wchodzi.

To powiedziawszy, pociągnął za rękaw Tadzia

wskazał kierunek wejścia do mieszkania pani Zajdzińskiej.

Smród, brud i ciemność, oto nieodstępni towarzysze Tadzia, aż do Parnasu warszawskich gospodyń.

Na progu stała pulchniutka paniusia od 60-ciu lat wzwyż i zamiatając spódnicą, serdecznie witała:

— Dzień dobry panu, panie Konopka. To pan z rekomendacji pana Gumowskiego. Zaraz się domyśliłam, kiem pana z dozorcą zobaczyła.

Zmierzyła Tadzia od góry do dołu i z powrotem, dodając w myśli:

— Facet jak się patrzy. Nic dziwnego, kompan Gumowskiego.

Tadzio chciał jej wytłumaczyć, że przecież on nie zna żadnego tam Gumowskiego, że on z kurierka wyczytał itd., ale elokwentna gosposia ciągnąc go za poły palta do pokoju, do słowa go nie dopuściła.

Przed Tadziem przesunął się obraz nędzy i rozpaczy. Wpadł z deszczu pod rynnę. Te pokoje, które widział przedtem, te, które mu się nie podobały, teraz w jednej chwili stały się dla niego „ziemią obiecaną".

Po jednej i drugiej stronie pokoju prostopadle do okna stały dwa rzędy żelaznych i drewnianych łóżek. Każdy liczył po trzy. Trzy miednice, do nich trzy stołki, szafa i stół na regałach składały się na umeblowanie. Ściany ozdabiała niekompletna tapeta upstrzona fotosami artystek i wycinankami z „Kina".

— Tylko dziesięć złotych, nie więcej. Tak, jak liczyłam panu Gumowskiemu — zaczęła swe wywody nadobna gosposia, uśmiechając się do osłupiałego Tadzia.

— Tak już sobie wykalkulowałam. Sześciu panów, to akurat sześćdziesiąt złotych. Za komorne płacę pięćdziesiąt, ale przecież światło dochodzi, woda, obsługa rzetelna, zresztą pan najlepiej to rozumie. A pan na jakiej budowli pracuje? Czy to może też tam na Woli, gdzie Gumowski? Widać, dobrze panu, kiedy taki wyelegantowany. Chyba już po robocie? Co? Ho, ho! Gumowski to był facet! Jak on się przebrał po robocie, to go nawet arystokratyćne panny do domu odprowadzały. Bo, ja się trochę na tym znam.

Tu mrugnęła okiem i skierowała wzrok na dużo mówiący fotos na ścianie, ciągnąc dalej:

— Ja się nie sprzeciwiam, nie, byle były porządne, ładne, za herbatkie okazyjną dały zarobić, to owszem. No i najlepiej to zawsze bez kolegów, bo to widzi pan...

— Oczywiście... naturalnie... słusznie... — bełkotał Tadzio, myśląc w jaki sposób unieszkodliwić złotoustą gosposię.

— Za herbatkie liczę po piętnaście groszy od kubka, a szynkie, bułeczkie i masło zależnie od konsumpcji i...

Nie! Tego już za wiele!

— Dobrze, d o b r z e... dam dwadzieścia, pięćdziesiąt, sto — krzyknął w twarz pulchnej właścicielki tajemniczego hoteliku i jednym susem skoczył do drzwi i znalazł się w sieni.

Ochłonął dopiero na ulicy. Co za babsztyl! On Konopka i... jakiś tam Gumowski. Zwariowała? Co go obchodzą jej „trajlowania" o murarskich robotach! Też dopiero towarzystwo. No, dziękuję!

Żeby to tylko ona. Jedna nawet dziś, gdy jej powiedział, że nieodpowiedni pokój dla niego, zwymyślała go na czym świat stoi. Zarzuciła mu brak miłosierdzia, rozpłakała się, że nie ma czym mieszkania opłacić, a on tego nie rozumie. On student, inteligent powinien ją zrozumieć i pomóc. Pokój był na trzech. Kosztował dziewięćdziesiąt złotych. W dodatku miał sobie dokooptować jeszcze dwóch kolegów.

To już bezczelność!

Sięgnął po zegarek i stwierdził, że dochodziła godzina szósta minut dziesięć. Zadecydował wstąpić jeszcze na Uniwersytet i przejrzeć szafkę ogłoszeń, a już bezwzględnie udać się gdzieś do taniego hotelu i przenocować, by następnego dnia odnowić po prostu wrażenia dnia dzisiejszego.

Portiernia w głównym gmachu była jeszcze otwarta, gdzie u urzędującego woźnego Tadzio kupił spis wykładów. Już chciał wyjść, gdy nagle wzrok jego zatrzymał się na wielkim ogłoszeniu, wiszącym na ścianie. Czytał:

„P o m o r z a n i e wszyscy należą do organizacji Stow. Przyj. Pomorza. Wszelkiej pomocy i informacyj nowowstępującym na uczelnię udziela S. P. P. Codziennie dyżury do godz. 20-tej przy ul. Szopena 10 m. 2 w lokalu „Biuletynu Pomorskiego".

Spojrzał prędko na zegarek. Była godzina siódma za dziesięć. Zdąży jeszcze. Wsiądzie do tramwaju i pojedzie, byle prędzej... byle nie być sam na sam ze sobą i nie dręczyć się myślą o dniu jutrzejszym...

Pojechał. W tramwaju, na vis à vis niego siedziała korpulentna damulka, która na pierwszy rzut oka przypomniała Tadziowi ową gosposię z Radnej. Czyżby? Ej, chyba nie. Zimny pot go oblał na samą myśl. —

KRONIKA

WYBORY KONWENTU P. A. K! „CASSUBIA" W WARSZAWIE.

W niedzielę, dnia 23 października b. r. na Walnym Zebraniu wybrano nowe władze Konwentu Czynnego w następującym składzie:

Prezes — Kom. Waligóra Jan.

V. Prezes — Kom. Komkowski Robert.

Kanclerz — Kom. Rutkowski Franciszek.

Skarbnik — Kom. Dynowski Bronisław.

Olderman — Kom. Szóstakowski Józef.

Redakcja „Biuletynu Pomorskiego" składa nowemu Zarządowi Korporacji życzenia trwałej i owocnej pracy dla idei Pomorza i polskości Kaszub.

ZJAZD P. A. K! „CASSUBIA" W WARSZAWIE.

Na dzień 12-go listopada b. r. przypada największa uroczystość w dziejach P. A. K! „Cassubia". Bo, oto po jedenastu latach swego istnienia, Korporacja łącząca brać pomorską wystąpi na terenie Warszawy poraz pierwszy pod znakiem Gryfa. „Sztandar czarno-błękitny, przecięty złocistym pierścieniem" poświęcony niedawno, bo w lipcu b. r. na Zjeździe K! „Cassubii" w Kartuzach zostanie wręczony uroczyście Activitas'owi przez Konwent Filistrów.

WIECZOREK ZAPOZNAWCZY STOW. PRZYJACIÓŁ POMORZA W WARSZAWIE.

W niedzielę, dnia 6-go listopada b. r. Stowarzyszenie Przyjaciół Pomorza w Warszawie, urządza w salach lokalu Zw. Prac. Skarb. (Aleje Ujazdowskie nr. 36 m. 1) o godz. 19-tej uroczysty Wieczór zapoznawczy.

Strój wizytowy. Tani bufet. Doborowa orkiestra. Moc niespodzianek.

Wszystkie Koleżanki, Kolegów i Sympatyków jak najserdeczniej zaprasza

ZARZĄD.

DYŻURY W LOKALU „BIULETYNU POMORSKIEGO" W WARSZAWIE.

Redakcja „Biuletynu Pomorskiego" wyznaczyła specjalne dyżury informacyjne dla Kolegów w lokalu własnym przy ul. Szopena 10 m. 2. Dyżury odbywają się codziennie od godz. 17—19-tej. Kolega Kula dużyrować będzie codziennie od godz. 19 — 20-tej za wyjątkiem sobót i niedziel.

PROSIMY O ADRESY.

W celu umożliwienia wysyłki „Biuletynu Pomorskiego" Redakcja zwraca się z prośbą o podanie zmian adresu kolegów:

Wędlikowskiego Witolda, zam. ost. Gdynia, Św. Jańska 14 m. 3.

Staniczka Wincentego, zam. ost. Żywiec, Gimn. Państw.

Maćkowiaka Edmunda, zam. ost. Toruń III. Fundusz Pracy.

Roppla Leona, zam. ost. Kraków, ul. Jabłonowskich 10/12.

ZEBRANIA TOWARZYSKIE U WIELKOPOLAN.

Podajemy Kolegom Seniorom do wiadomości, że zebrania towarzyskie naszego Koła będą odbywały się odtąd u Wielkopolan w lokalu Resursy Obywatelskiej w W-wie przy ul. Krak. Przedm. 64 w czwartki po 1-szym i 15-tym każdego miesiąca. Wstęp bezpłatny.

CO O NAS PISZE „KURIER WARSZAWSKI".

„Kurier Warszawski" z dnia 18 października b. r. w Kronice Akademickiej zamieszcza:

„Rok mija, jak grono Pomorzan, absolwentów wyższych uczelni z różnych miast uniwersyteckich w Polsce, podjęło próbę nawiązania kontaktu ze wszystkimi Pomorzanami, którzy ukończyli wyższe studia — z myślą o zespoleniu inteligencji pomorskiej w służbie dla dobra Polski.

Również rok temu wydany został pierwszy numer „Biuletynu Pomorskiego", który miał odegrać rolę niby dawnych „Wici" i okrzyknąć Pomorzan, rozsianych po całym kraju — a następnie stać się trwałym między nimi łącznikiem".

W dalszym ciągu „Kurier Warszawski" cytuje urywki z artykułu kol. Kuli, kończąc słowami:

„Wysiłki grupy stojącej za „Biuletynem Pomorskim" zasługują jak najbardziej na poparcie, a to zwłaszcza w okresie, gdy na Pomorzu rozmaite organizacje niemieckie wykazują dużą aktywność.

„Biuletyn Pomorski" poświęca dużo miejsca zagadnieniom akademickim, o czym jednak podamy w następnej kronice".

Prenumerata normalna: rocznie zł. 6.—, półrocznie zł. 3.—, kwartalnie zł. 1.50.
Prenumerata dla studentów: rocznie zł. 3.—, półrocznie zł. 1.50, kwartalnie 75 gr.

Wydawca: **Stow. Przyjaciół Pomorza w Warszawie.** Redaktor odpowiedzialny: **Alfons Kotowski.**

Drukarnia Bci Drapczyńskich, Warszawa, Piusa 15.